

Wybawca Beckett

Z Antonim Liberą, tłumaczem i znawcą twórczości Samuela Becketta

rozmawia Anna Malcer Zakrzacka.

(Fragment. Cały wywiad ukaze się w numerze 5/2010
sopockiego Dwumiesięcznika Literackiego „Topos”).

Jak Pan ocenia seminarium "Back to the Beckett Text" i festiwal "Beckett na plaży", zorganizowane przez Instytut Anglistyki Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Gdańskiego, we współpracy z partnerami - instytucjami kultury miasta Sopotu: Towarzystwem Przyjaciół Sopotu i Sopocką Sceną Off de BICZ?

Oceniam całe to przedsięwzięcie bardzo dobrze. Pod każdym względem: merytorycznym, organizacyjnym, towarzyskim. Jest to pierwsze na tę skalę sympozjum w Polsce. I od razu przyjechało na nie kilku najwybitniejszych znawców przedmiotu, by wymienić choćby Portera Abbotta, Enocha Bratera czy Stanleya Gontarskiego - jednego z pierwszych organizatorów tego rodzaju spotkań na świecie. W 1981 roku przygotował on taką sesję na uniwersytecie Columbus w Ohio. Beckett napisał wtedy na tę okazję słynną później jednoaktówkę Impromptu "Ohio". W przypadku naszego seminarium dodatkową, wyróżniającą atrakcją jest miejsce: Sopot, klimat tego kurortu, bliskość morza (tak ważnego dla Becketta) i urok Dworku Sierakowskich. Krótko mówiąc: wielkie święto literatury, Becketta i uniwersytetu.

Czy Beckettowska diagnoza postawiona zachodniej duchowości i cywilizacji jest wciąż aktualna? A jeśli tak, to w jakim stopniu?

Według mnie, w kulturze, do której należymy, wywodzącej się z tradycji judeochrześcijańskiej, nie stało się nic takiego, co unieważniałoby diagnozę Becketta lub choćby ją podważyło. Przeciwnie, powiedziałbym, że procesy duchowe, które Beckett rozpoznał i wyraził w połowie XX wieku, od tamtego czasu tylko narosły i pogłębiły kryzys. W tym sensie można mówić o profetyzmie jego literatury. Bo o co mu chodziło? W największym skrócie: o katastrofę i mutację metafizyczną. Ludzkość przez setki, a nawet tysiące lat żyła w przestrzeni duchowej, która nadawała sens jej istnieniu i losowi. Ta przestrzeń wyrastała na gruncie wyobraźni, na owej "poetyckiej", jak pisał Hölderlin, predyspozycji człowieka, która sprawia, że tworzy on rzeczy według swojej fantazji. Były to najróżniejsze mity religijne, z mitem miłości i boskiego miłosierdzia na czele, które po

pierwsze, umieszczały ludzkość w centralnym punkcie kosmosu, a po drugie, przekonywały, że człowiek jest istotą "specjalnej troski", że czuwa nad nią wielka, dobra, nadprzyrodzona siła. Otóż ta wielowiekowa wiara, wskutek rozmaitych czynników - głównie emancypacji Rozumu, czyli zwycięstwa innej metody poznawczej, opartej na liczbie i kryterium pewności - uległa załamaniu i ludzkość powróciła niejako do punktu wyjścia: do pustki, braku jakiegokolwiek busoli, zagubienia i strachu. Okazało się, że obietnica Oświecenia, że wraz z racjonalnym opanowaniem materii przyjdzie harmonia ducha i zapanuje szczęście, nie potwierdziła się. Owszem, nastąpił znaczny postęp w opanowaniu materii, lecz wcale nie wyniknął z tego jakiś lepszy ład na ziemi. Wręcz przeciwnie, skończyło się to naprzód monstrualną zbrodnią i uprzedmiotowieniem człowieka, a następnie rozpaczą.

Kolejną książką, którą wydał Pan po *Madame*, jest autobiograficzna powieść *Godot i jego cień*. Choć różni się ona znacznie od pierwszej, pod pewnymi względami jest jednak podobna. Chodzi głównie o to, że jest to także opowieść inicjacyjna, tym razem - intelektualnie. Pozwala to widzieć Pana jako autora specjalizującego się w literaturze wtajemniczenia. Czy jest to świadomy wybór?

Nie myślę o tym w tych kategoriach. *Godot i jego cień*, wbrew pozorom, jest książką o wiele bardziej prostolinijną, a przy tym poważniejszą niż „*Madame*”. Nie używam w niej chwytów parodystycznych; piszę "wprost", o sobie, na serio. Chodziło mi o kilka rzeczy naraz. Przede wszystkim chciałem opowiedzieć swoją "przygodę" z literaturą Becketta; uważałem, że tyle jej zawdzięczam i na tyle stała się ona ważna w moim życiu, że winien jestem dać temu świadectwo. Po drugie, chciałem sprawdzić, czy da się taką historię opowiedzieć zwyczajnie, niejako beletrystycznie, a nie w formie choćby swobodnego eseju. Wreszcie – i to wydawało mi się najciekawsze, a zarazem najtrudniejsze – widziałem w tym przedsięwzięciu szansę na opowiedzenie znacznie głębszej niż czysto indywidualnej historii - historii zderzenia czy konfrontacji świadomości człowieka z Europą Środkowo-Wschodniej, w dodatku opanowanej przez sowiecki totalitaryzm, ze świadomością człowieka europejskiego Zachodu, na którym zaaplikowane nam przez Rosję nowinki zostały wynalezione. To jest temat sygnalizowany już przez niejednego pisarza, między innymi przez Gombrowicza i Miłosza, którzy twierdzili, że konfrontacja polskiej duchowości z marksizmem, jakkolwiek bolesna i krwawa, może się okazać wartością jako konfrontacja z prawdziwie zachodnim wynalazkiem. Że obcowanie z takim wynalazkiem, jakkolwiek rujnujące, sprzyja dojrzewaniu, a w każdym razie wyzwala z polskiej niedojrzałości. Ja się z tym poglądem nie zgadzam, a w każdym razie obwarowuję go licznymi zastrzeżeniami. I właśnie w książce daję temu wyraz. Próbuję pokazać, dlaczego i w jaki sposób "spotykam się" z Beckettem jako z kimś bliskim nie tylko pod względem

osobowości i wyobraźni, lecz głównie z powodu podobnego widzenia świata, podobnego rozpoznania sytuacji, w jakiej się znalazł współczesny "człowiek Zachodu".

Interesuje mnie postać Arnolda - swoistego ojca duchowego głównego bohatera i męża opatrzniciowego jego rodziny, przywołującego pamięć warszawskiego getta, a potem wydarzeń 68 roku. Czy na emigracji jego los się rozjaśnił?

Wątpię. To był człowiek bardzo silnie doświadczony przez los i nie sądzę, aby jego zgorzknienie czy po prostu głębokie zwątpienie mogło ustąpić pod wpływem zmiany warunków życiowych. To był kosmopolita, znał Zachód równie dobrze jak Wschód. Widział świat w dość czarnych kolorach. Mógłbym tu w odniesieniu do niego zacytować słynny passus z Końcówki, sztuki, którą znał prawie w całości na pamięć:

Znałem kiedyś szaleńca, który uważał, że koniec świata już nadszedł. Był malarzem. Bardzo go lubiłem. Przychodziłem do niego, do jego samotni. Brałem go za rękę i ciągnąłem do okna.
Patrz! Tam! Na to zboże, co rośnie! I tam! Patrz! Na te żagle łodzi rybackich! Wyptywają na połów sardynek. Na całe to piękno! Wyrwał mi swoją rękę i wracał do swego kąta.
Przerażony. Widział tylko popioły.

Wzruszające było dla mnie to, że ja w jakiś sposób zastępowałem mu syna, którego stracił pod koniec wojny. Przyjaźnił się z moimi rodzicami, ale stosunki te, mimo wielkiej zażyłości, wcale nie były sielankowe. Oni w znacznie większym stopniu niż on akceptowali peerelowską rzeczywistość. I bali się, że mnie "zdemoralizuje" politycznie. Arnold miał ogromną pogardę dla komuny i był przekonany, że się tu zmarnuje.

W *Godocie i jego cieniu* jest jeszcze kilku fascynujących bohaterów, podobnych w jakiś sposób do postaci Beckettowskich, na przykład stary S., "ptak-wdowiec", dążący w maniackalny sposób do "podsumowania swojego życia w ujęciu statystycznym", czy szkolny woźny, który wyznawał niezwykłą w dzisiejszych czasach filozofię, iż "Tylko na dnie jest się zupełnie wolnym". Ile postaci te mają z samego Becketta, a ile z jego bohaterów?

To są postaci autentyczne. Nie kształtowałem ich na podobieństwo postaci Beckettowskich ani tym bardziej samego Becketta. Zależność jest odwrotna: to postaci Becketta, gdy poznawałem je po raz pierwszy, przywoływały mi na pamięć tamtych ludzi, których znałem w dzieciństwie i wczesnej młodości. Można powiedzieć, że między innymi właśnie dzięki tym odwołaniom czy skojarzeniom literatura Becketta stawała mi się tak bliska. Mimo że jest to literatura wysoce abstrakcyjna, paraboliczna, działała na mnie bardzo zmysłowo, emocjonalnie, słowem - realistycznie, cokolwiek by miało to znaczyć.

Postaci te zdają się też mieć pewne cechy wspólne z Januszem Szpotańskim, słynnym pisarzem outsiderem, z którym się Pan przyjaźnił i któremu zadedykował pan Godota..., a także któremu, wraz z Zygmuntem Salonim, wydawał Pan jego utwory satyryczne, między innymi w Bibliotece Literatury Polskiej w Internecie UG, witrynie stworzonej przez profesora Marka Adamca z Katedry Kulturoznawstwa Wydziału Filologicznego UG (<http://literat.ug.edu.pl>).

Owszem, Szpot - bo tak się na niego mówiło - miał w sobie wiele z Beckettowskich postaci, a także doskonale czuł twórczość Becketta. Przegadałem z nim na te tematy wiele godzin. I stąd też ta dedykacja, choć oczywiście również dlatego że ową pierwszą wersję książki pisałem, mając jego za adresata. Szpot był fascynującą osobą: miał w sobie coś z Gombrowicza, coś z Witkacego, coś z Becketta. Był człowiekiem niebywale inteligentnym i czytany. Ale wszystko to ukrywał pod maską błazeńską. I to właśnie ten kpiarski, prześmiewczy styl pozwalał na mówienie o sprawach poważnych czy wręcz ostatecznych w sposób nie "upupiający". Jakakolwiek egzaltacja czy koturn były ze Szpotem wykluczone. Narzucał rozmówcy formę ironiczną. To było w nim tak silne, że nawet samego siebie traktował z wielkim dystansem. Miał olśniewający talent, górował nad większością "uznanych" literatów, a jednak uważał, że to jest wciąż za mało. Miał dawną miarę rzeczy. Wiedział, co to hierarchia.

Rozmawiała Anna Malcer-Zakrzacka